

Eliza ucieszyła się:

- No, to idziemy w tym samym kierunku. Razem będzie rażniej.
- Poznaliśmy się w dziwnych okolicznościach.
- Mówisz? To prawda. Dość nietypowe to było. Dlaczego w ogóle się nie broniłeś? Nie widziałam całej akcji, ale ci kolesie mogli cię przecież zabić. Nie znam się na bójkach autobusowych, ale gdyby któremuś bardziej zależało, mógł zrobić ci krzywdę.
- Wiesz co, problem polega na tym, że nie widzę na jedno oko i jestem po operacjach. Zatem w takiej nierównej walce i i tak nie miałbym szans.

Eliza spojrzała na niego ze współczuciem.

- Nie wiedziałam. To coś poważnego?

Chłopak zwolnił i starając się przybrać lekceważący ton, powiedział:

- Nie. Wykryli u mnie chorobę genetyczną. Dziedziczna w linii prostej. W ogólnopolskim rejestrze chorych widnieje około pięciuset osób, a ja jestem pierwszy w rodzinie. Szczęście większe, niż wygrać szóstkę w totka.

- Jak masz na imię?

- Jan, Janek, Jasiek, do wyboru. A ty?

- Eliza. To chyba straszne mieć świadomość rzadkiej choroby. Jakie są, powiedzmy rokowania? Jeśli to zbyt osobiste, to nie odpowiadaj.

- Prowadzący genetyk twierdzi, że nie jest tak źle, jakby mogło być. Wiem, że jest to choroba do końca życia i że, póki co, nie ma na to leków. Więc wszystkie powstające guzy trzeba usuwać, blokować mechanicznie. Jestem z tym pogodzony i to w pełni akceptuję. I chyba dlatego wszystko idzie dobrze. Dwa miesiące temu rozkroili mi rdzeń kręgowy, a dziś już normalnie ćwiczę. Właśnie wracam z treningu wspinaczkowego. A rokowania... ta choroba nie zabija, więc jeżeli będę robił regularne badania diagnostyczne i nie wyrośnie mi zbyt dużo guzów w nieciekawych miejscach, to czeka mnie długie i zdrowe życie. No, chyba, że zadławię się na śmierć śniadaniem, albo wpadnę pod autobus, to wtedy nie.

- To dobrze, bo myślałam, że to trochę jak wyrok śmierci. U mnie dziesięć lat temu wykryli nowotwór złośliwy, od razu poszłam pod nóż i miałam chemię, po której oczywiście wszystkie włosy wypadły. Po takiej dawce chemicznych trucizn uodporniałam się właściwie na wszystko.

- No proszę, to w takim razie też muszę sobie zrobić chemię, przydałoby mi się uodpornić na wszystko. Plus mojej przypadłości jest taki, że te guzy rzadko kiedy robią się złośliwe. Minusem jest to, że może paść od nich wątroba, nerki albo popsuć się rdzeń kręgowy. Mi w jednym miejscu prawie przerwało.

- Widzisz coś na to oko?

- Tyle, żeby się przemieszczać po pustym pokoju - czyli praktycznie nic.

- A jest do uratowania jeszcze? Da się wyleczyć?

- Uratowaniem będzie zatrzymanie tego, co jest teraz. Żeby było lepiej, okulistyka musi nauczyć się robienia przeszczepu gałek ocznych. Lewe jest tak zdewastowane, że przez kilka miesięcy nikt nie chciał tego ruszać, łącznie z naszymi topowymi okulistami. Dopiero później okazało się, że jest w Polsce lekarz, który już robił takie przypadki jak mój.

- I tak jesteś dzielny, że potrafisz z tego żartować.

Doszli do trawnika, który rozciągał się pomiędzy blokami. Na ławkach siedzieli młodzi mężczyźni:

- Popatrz, nasza bohaterka! – odezwał się zgryźliwie jeden.

- Aha! Idzie z tym kolesiem.

- Hej, chcesz w ryj? – Wykrzykiwali, szukając zaczepki.

– Darek, spokojnie – przemówił któryś dyplomatycznie. Widocznie nie chciało mu się już wszczynać kolejnej awantury. Swoją program na dziś odbębnił.

– Stary! Dasz im tak spokojnie przejść?!

Eliza spojrzała niepewnie na Janka. Nie widzieli sensu w odpowiadaniu na zaczepki, nawet we własnej obronie. Gdyby tamci zapragnęli im dołożyć i tak najprawdopodobniej uczyniliby to. Nie było zresztą do-
kład uciekać, bo przy trawniku znajdowały się asfaltowe alejki, na których trudno szukać schronienia, a
którymi bardzo łatwo można doścignąć.

– Cholera – zaczął Janek. – Ty lepiej uciekaj, ja sobie jakoś z nimi poradzę.

– Daj spokój – oburzyła się dziewczyna. – Zaraz im przejdzie. Udawajmy, że niczego nie słyszeliśmy.

– Coś ty! Teraz im nie daruję!

– Jak chcesz, a ponieważ dla mnie temat przestał istnieć, wracam do domu. Mam masę rzeczy do zro-
bienia.

– No dobra, nie wygłupiam się. Ja też muszę wracać.

Rozmowę prowadzili przyciszonym głosem, więc do uszu zaczepiających nic nie dotarło. Tamci spo-
glądali na nich spod oka. Pierwszy z mężczyzn odezwał się wreszcie:

– A co oni kombinują?

– Chuj ich wie... Lepiej siedźmy cicho, bo może psy gdzieś tam nasłuchują. Dawaj lepiej browara.

– Spoko, mnie też w sumie nie chce się bić, poza tym zasadniczo nie biję dziewczyn.

– Ha, ha! Marcin, po raz pierwszy słyszę, że masz jakieś zasady.

– Zawsze miałem, dopóki ten świat nie uświadomił mi, że lepiej jest bez nich.

– Wiesz co, to ja lepiej skoczę do Ryśka po kilka puszek. Tam jest jeszcze otwarte.

Eliza i Janek, nie niepokojeni więcej przez nikogo, szli asfaltowymi alejami, srebrzącymi się teraz w
świetle księżyca. Dziewczyna uświadomiła sobie czar tego spaceru. Dochodziła godzina dwunasta w
nocy, asfalt i mijane bloki oddawały nagromadzone w ciągu dnia ciepło. Z krzewów dochodziło cykanie
świerszczy, a w powietrzu unosił się zapach maciejki rosnącej na rabatach. Było bardzo ciepło, jak przy-
stało na drugą połowę lipca. Eliza miała wrażenie, że jest pogrążona we śnie. Od czasu do czasu mijał ich
jakiś spóźniony spacerowicz z psem. Albo nagle pojawiał się rowerzysta błyskając niebieskim światłem i
przerywając ciszę szelestem opon. Księżyc był w pełni, a jego blask srebrzył krawędzie nocnych ob-
łoków. Eliza spojrzała z ukosa na towarzysza. Rysy jego twarzy były bardzo harmonijne, lekko podnie-
siona brew jeszcze to podkreślała. Prosty nos, dobrze zbudowany podbródek, oczy koloru zielonego. W
tych kilku momentach, gdy mówił, wzrok miał utkwiony w nią i było w nim coś nadzwyczaj uczciwego i
prostolinijnego. To nie był chłopak, raczej młody mężczyzna.

„Nie, on się nie boi“ – pomyślała Eliza. Zerknęła również na jego pierś i barki.

„Hm“ – mruknęła cichutko. „Tylko się nie zakochaj przypadkiem“ – skarciła siebie wewnętrznym sro-
gim głosem. Ten głos dodał jeszcze:

„Fantastycznie zbudowany facet to nie jest rzadki eksponat na wystawie, wystarczy trochę pochodzić
na basen lub siłownię i poobserwować.“ – Jeszcze raz rzuciła okiem na jego tors, później na profil głowy
i obiecała sobie, że nie zaprzepaści tej znajomości.

– Słuchaj – zwrócił się do niej nagle, przerywając rozmarzenie.

– Tak... – odezwała się najpierw cicho, a później energicznie dodała rzeczowe: – Co? – chcąc w ten
sposób zatuszować objaw poprzedniej słabości. „Nie dam się tak łatwo“ – dodała w myślach.

– Niedaleko są fontanny, może masz jeszcze chęć pójść tam? Chyba nie ma komarów – dodał, biorąc
jej wahanie za oznakę strachu przed ukąszeniami.

– Dobrze, chodźmy – powiedziała po prostu. Usiedli na ławce nieopodal podłużnego zbiornika wod-
nego, z którego wystawały trzy duże fontanny i mnóstwo małych wodotrysków. Całość stanowiła impo-
nującą architektonicznie kompozycję, bo nie było tu zwykłych latarni, a jedynie słupki półmetrowej wy-

sokości, które kończyły się lśniąca kulą. Snop światła szedł w górę, tonął w bliżej nieokreślonych galaktykach. Na pewno jednak było za słabe, aby gdziekolwiek dalej dotrzeć. Nie chodziło tu nawet o to, że dotarłoby dokądś za setki miliardów lat. Ogrom wszechświata jest niepojęty. A my tkwimy na ziemi jak w garnku z zupą.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Madame Chauchat, dodano 11.11.2013 11:05

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.